

Śmiegielska-Bednarska, Maria

Wspomnienia z Dulag 121

Przegląd Pruszkowski nr 2, 59-63

1985

Artykuł został zdigitalizowany i opracowany do udostępnienia w internecie przez Muzeum Historii Polski w ramach prac podejmowanych na rzecz zapewnienia otwartego, powszechnego i trwałego dostępu do polskiego dorobku naukowego i kulturalnego. Artykuł jest umieszczony w kolekcji cyfrowej bazhum.muzhp.pl, gromadzącej zawartość polskich czasopism humanistycznych i społecznych oraz w kolekcji mazowieckich czasopism regionalnych mazowsze.hist.pl.

Tekst jest udostępniony do wykorzystania w ramach dozwolonego użytku.

MARIA ŚMIGIELSKA-BEDNARSKA

Wspomnienia z Dulag 121

Po raz pierwszy znalazłam się w pruszkowskim obozie przejściowym 121 po otrzymaniu kartki od jakiejś kobiety, która nie знаła nawet mego nazwiska. Wiedziała jedynie, że w Pruszkowie prowadzę księgarnię i wypożyczalnię książek pod nazwą „Wiązanka”. Poszłam do obozu, ale owej pani nie zdołałam znaleźć. Nie pamiętam czy to był pierwszy, czy też drugi dzień otwarcia obozu. Wszystko było w stanie organizacji. Niemcy chorych ledwie trzymających się na nogach, mimo interwencji polskich lekarzy, pędzili do wagonów w celu wywiezienia ich w nieznanym kierunku. Widziałam wtedy matkę z umierającym dzieckiem na ręku, młodą kobietę, która urodziła dziecko w okropnych warunkach na „zieleniaku” w Warszawie. Pokarm zatrzymał się jej, ogromnie cierpiała, a dziecko było głodne. W takim stanie została wywieziona. Nie było wówczas możliwości udzielenia jej pomocy i staliśmy z drem Dontenem bezradni. Koszmarne były te pierwsze dni. Postanowiłam w miarę swych możliwości włączyć się do pracy na terenie obozu. Dr Mazurek, który w owym czasie mieszkał w Pruszkowie w tym samym co ja domu, prosił aby zmobilizować do pomocy jak najwięcej ludzi. Ci co już rozpoczęli działać wciągali innych i tak zebrała się gromada ludzi gotowa nieść bezinteresowną pomoc wygnańcom Warszawy.

Spśród zespołu medycznego utkwily mi w pamięci następujące nazwiska miejscowych lekarzy-kobiet: A. Religioni-Bobrowska, O. Bordziłowska-Żegielewicz, J. Bielecka, M. Dąbrowa, L. Domanasiewicz, M. Jasińska, I. Wolframówna, oraz nazwiska lekarzy-mężczyzn; L. Donten, F. Kaczanowski, D. Ryniewicz i K. Szupryczyński. Pielęgniarkami, z którymi najwięcej się stykałam, były panie J. Pękala i H. Rogacka. Do znanych mi, wykonujących z poświęceniem różne czynności opiekuńcze, administracyjne i gospodarcze należały panie: J. Ciałkowska, Z. Chodnikiewiczowa, M. Cichońska, E. Bogucka, J. Bednarska, B. Baciowa, Z. Bańkowska, I. Dukwiczowa, J. Józwiakowa zwana „Jagodą” (służyła za tłumaczkę) Korzeniowska, W. Motulewska, W. Rapałowa, Z. Sadowska, I. Świerczyńska i zakonnica-urszulanka A. Tyszkiewicz,

również tłumaczka. W większości były to pruszkowskie nauczycielki. Pielęgniarek i osób zatrudnionych w różnych działach było zresztą bardzo dużo, lecz — niestety — wielu nazwisk nie zdołałam zapamiętać. Nasiłaliśmy białe fartuchy z opaskami Czerwonego Krzyża na rękawach. Praca nasza polegała na niesieniu pomocy chorym, rannym, głodnym i wyprowadzaniu w miarę możliwości jak najwięcej ludzi pochodzących z różnych środowisk. Wśród nich byli lekarze (z nimi było najmniej kłopotu), ludzie nauki, sztuki i kultury. Poza tym każdy z nas miał swoich bliskich i bliskich znajomych, którym pomocy w wyprowadzeniu nie można było przecież odmówić. Tłum ludzi zawsze stał przed wejściem do obozu. Każdy miał jakąś prośbę. Matki poszukiwały małych dzieci, z którymi zostały rozłączone w czasie Powstania w różnych dramatycznych okolicznościach. Rodzice poszukiwali córek i synów, którzy walczyli w Powstaniu, ci ostatni z kolei — rodziców. Każdy podawał kartkę i czekał na odpowiedź, niestety rzadko pomyslną.

W obozie dobrze była zorganizowana kuchnia. Kierowniczką jej była p. Bogucka. Do niej przyjeżdżały furmanki z żywnością. W powrotnej drodze furmanki te wykorzystywane były do wywożenia chorych ludzi. Gotowaliśmy zupy w olbrzymich kotłach. Nie było stałych kucharek. Gotowały je osoby, które oddały fartuchy i przepustki w celu wyprowadzenia młodych kobiet. Tu czekałyśmy na ich powrót. Poza tym do kuchni należał barak znajdujący się naprzeciwko. W nim p. Bogucka przechowywała młodych ludzi. Byli to przeważnie chłopcy, którym udało się wyjść z Warszawy z bronią. Czekając na wyprowadzenie rąbali drzewo na opał i wykonywali inne ciężkie roboty. W jaki sposób p. Bogucka wyprowadziła ich, nie wiem. Wielu z nich po wyprowadzeniu znalazło się w mieszkaniu pielęgniarek i p. Pękali, zamieszkałej wówczas w Pruszkowie przy ul. 3 Maja nr 7. Tu muszę powiedzieć, że wyprowadzenie młodego człowieka było bardzo trudne. Niekiedy wyprowadzano w ten sposób, że kładziono go na furmanki, a chorzy z przepustkami siedzieli nad nim. Widziałem, jak p. Chodkiewiczowa wyekspediowała kogoś w taki sposób. Doktor Jasińska szesnastoletniego chłopca jako ciężko chorego na tyfus wyniosła na rękach i oddała matce oczekującej przed bramą obozu. Uwalnianie brata przyjaciółki zaczęłam od tego, że dr Donten stwierdził na piśmie przebytą przez niego chorobę mózgu. Z tym rozpoznaniem sprowadziłam go do Hali nr 2, gdzie dr König, naczelnny lekarz obozu, siedział za stołem i podpisywał zwolnienia. Kiedy nadeszła kolej na mego znajomego, doktor spojrział na niego, a ten widocznie z wrażenia dostał gwałtownego kaszlu i opryskał śliną Königa. Zdrętwiałam. Nie wiedziałam jak König zareaguje. Wszystko skończyło się dobrze. Dr König wprowadził ze wstrętem, ale podpisał zwolnienie. Zwolnienia były później wpisywane na listę, którą jeszcze podpisywało Gestapo urzędujące w „Zielonym Wagonie”. Wyprowadzało się ludzi dużymi grupami. Grupie to-

warzyszył ktoś z personelu z listą w rękę, którą sprawdzała warta pilnująca bramy.

Kiedyś p. Bogucka dowiedziała się, że w fabryce w Piastowie jest dużo pustych blaszanek, które mogą się przydać na wodę dla ludzi w wagonach. Było upalne lato i ludzie cierpieli na pragnienie. Dostałam furmankę i przywiozłam je do obozu. Wymyte i napełnione wodą dostarczaliśmy do wagonów. Pewnego dnia p. Bogucka zaproponowała mi, żebym wywiozła do mieszkania p. Pękali dużą torbę skórzaną, nie mówiąc co się w niej znajduje. Radziła mi poszukać kogoś do asysty. Zaproponowałam p. Irenie Świerczyńskiej (zam. w Pruszkowie przy ul. Drzymały nr 14) która zgodziła się na to bez wahania. Czekaliśmy już na nas dorożka z RGO. I tak trzymając torbę na kolanach wyjechałyśmy za bramę obozu. Pod wskazanym adresem przebywali młodzi ludzie, którzy torbę natychmiast otworzyli i wyjęli z niej dużo ręcznej broni. Miałam później wyrzuty sumienia, że p. Irenę narażałam na tak wielkie niebezpieczeństwo. Była bardzo młoda i jedynym dzieckiem rodziców.

Jeszcze parę słów o wyprowadzaniu ludzi. Zawsze wiedzieliśmy z jakiej dzielnicy Warszawy przybędzie transport. Transporty przychodziły do bramy obozu od strony dzielnicy „Papiernia”. Pociąg stawał wzdłuż muru warsztatów. Ludzie wychodzili i wędrowali z całym swoim dobytkiem do obozu przez bramę. Wtedy to udawało nam się wiele osób uwolnić. Kiedyś, dnia dokładnie nie pamiętam, takim transportem przyjechała słynna polska śpiewaczka Ada Sari. Nie wiem kto ją rozpoznał i odłączył z grupą osób od kolumny prowadzonej do hal warsztatów. Grupa ta zatrzymała się naprzeciwko „Zielonego Wagonu”, a my oczekiwaliśmy z niepokojem, co się dzieć będzie dalej. Okazało się, że Niemcy skłonni byli zwolnić tylko Adę Sari, która jednak stanowczo oświadczyła, że opuści obóz, ale tylko z całą rodziną. I w ten sposób wyprowadziła wszystkich.

W pierwszych dniach września, pełniąc służbę w hali nr 3, spostrzegłam byłego prezydenta Rzeczypospolitej Polskiej Stanisława Wojciechowskiego, chodzącego po niewielkim, wolnym od ludzi skrawku hali. Żona jego siedziała na tłumoczkach. Podeszłam do niego, przedstawiłam się i poinformowałam, że postaramy się go wraz z żoną wyprowadzić. Musiałam odejść aby szukać pomocy, więc poprosiłam p. Świerczyńską, z którą często pracowałam, aby nie opuszczała prezydenta. Musiałam znaleźć p. Józwiakową, późniejszą Szejwkowską, ostatnio zamieszkałą w Katowicach-Ligocie. „Jagoda” znała dobrze język niemiecki, ponadto posiadała duży osobisty wdzięk, który ułatwiał jej załatwienie nieraz bardzo trudnych spraw. Przedtem spotkałam p. Leona Józwiaka, znanego działacza pruszkowskiego, którego zawiadomiłam, że poczyniłam już kroki w celu wyprowadzenia z obozu prezydenta Wojciechowskiego z żoną. Dodać wypada, że „Jagoda”, chociaż miała takie samo nazwisko, jednak z p. Józwiakiem nie była spokrew-

niona. Postanowiłam razem z nią odszukać niemieckiego oficera, o którym wiedziałyśmy, że wykazuje humanitarny stosunek do ludzi. Po długich poszukiwaniach w rozległych warsztatach udało nam się wreszcie go znaleźć. Rzecz szczególna — oficer ten wypisał od razu zwolnienia państwa Wojciechowskich z obozu. Przed główną bramą obozu czekała już na prezydenta furmanka, o którą zapewne postarał się p. Józwiak. Prezydent Wojciechowski z żoną odjechali do swej córki p. Grabskiej, synowej byłego ministra Skarbu Władysława Grabskiego, zamieszkałej w pobliskich Gołąbkach, Odjazdowi prezydenta towarzyszyło wiele osób z naszego personelu.

Na drugi dzień z Gołąbek przyszedł do mego mieszkania Zdzisław Grabski, drugi syn ministra, z prośbą o wyprowadzenie z obozu jego żony. Doradziłam p. Grabskiemu, aby przywiózł jakiś prowiant furmanką do obozowej kuchni, a ja postaram się odszukać jego żonę. Tą właśnie furmanką wyjechała z obozu pani Grabska z córką, której list o okolicznościach uwolnienia ich i prezydenta załączam. Następnego dnia przysłała również do mego mieszkania młoda osoba z prośbą o wyniesienie z obozu plecaka z ważnymi dokumentami. Plecak znajdował się w hali nr 6 i opiekował się nim jakiś pan. Hala ta była przeznaczona dla mężczyzn skazanych na wywóz do obozów w Niemczech. Teren hali pocięty torami kolejowymi, a między nimi betonowe pasma posadzek z leżącymi na nich ludźmi. Po wywołaniu nazwiska z posadзки podniósł się ów pan, któremu powiedziałam od kogo i w jakiej sprawie przysłałam. W odpowiedzi wskazał mi plecak leżący obok.

Po kapitulacji Powstania Warszawskiego przez obóz w Pruszkowie przeszły jako pierwsze grupy powstańców z Mokotowa i Żoliborza. Transport z Mokotowa nadszedł późnym wieczorem lub nocą. Gdy rano przysłałam do pracy w obozie spostrzegłam, że Niemcy byli tym niezwykle poruszeni, a jeszcze więcej nasi polscy działacze. Dowiedziałam się, że powstańcy zostali ulokowani w hali nr 7, dotychczas jeszcze nie zajętej. Pamiętam, że w nocy teren wokół niej został ogrodzony kolczastym drutem. Dostęp do hali stał się niemożliwy, więc tylko z daleka patrzyliśmy na znajdujących się tam powstańców. Prezentowali się dobrze, byli ubrani przeważnie po wojskowemu. Na okryciach głów i kołnierzach mieli paski białoczerwone. Nie byli załamani. W obozie przebywali chyba dwa dni. W jakiś czas potem przywiezieni zostali powstańcy z Żoliborza, również nocą. Ulokowano ich w tej samej hali nr 7, lecz nie stosowano już takich rygorów, jak do tych z Mokotowa. W odległości kilkudziesięciu metrów od hali uruchomiono punkt opatrunkowy, do którego przyprowadzono rannych powstańców. Jeden z nich zwrócił się do mnie z prośbą o wyprowadzenie go z obozu. Powiedział, że jest żołnierzem Berlinga i gdy wojsko polskie doszło do Wisły został wraz ze swoim oddziałem skierowany na pomoc powstańcom, przepłynęli Wisłę i walczyli z nimi do końca. Teraz nie wie jaka

będzie jego sytuacja. Ogromnie było mi go żal, ale pomóc mu absolutnie nie byliśmy w stanie.

Niemcy nie sprzeciwiali się podawaniu paczek z żywnością począwszy od tego ostatniego transportu powstańców. Kiedyś zainteresował się tymi paczkami gestapowiec w okularach, o okrutnej twarzy, postrach całego obozu. Kazał wszystkie paczki otworzyć. Z paczki trzymanej przez panią Motulewską wysunęła się butelka wódki. Struchlałyśmy. Ale ona, nie tracąc zimnej krwi, zdołała nogą przesunąć butelkę do tyłu. Miała przy tym tak niewinną i uśmiechniętą twarz, jakby nic się nie stało. Gestapowiec całego tego incydentu nie zauważył i wszystko skończyło się dobrze. Później scena ta wydawała się nam bardzo komiczna.

MARIA ŚMIGIELSKA-BEDNARSKA